NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz**

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 3 grudnia 1921. Nr. 49.

Bezczelne morderstwo rabunkowe w Krakowie



Napad niewyśledzonych dotąd bandytów na kantor bankowy „Hermes" przy ul. Dietlowskiej 62.

Poświęcenie linii kolejowej Kokoszki-Gdynia.

W dniu 20 listopada b. r. odbyło się uroczyste poświęcenie i oddanie do użytku publicznego nowozbudowanej linii kolejowej Kokoszki-Gdynia na Pomorzu.

Linia ta, niezbyt długa, liczy bowiem zaledwie trzydzieści trzy kilometry, dla naszego handlu i przemysłu ma jednak nieposlednie znaczenie łącząc bezpośrednio polską sieć kolejową z wybrzeżem morza Bałtyckiego, przyznanem nam na podstawie traktatu wersalskiego. Nie mając dostępu bezpośredniego do morza należącą się nam właściwie drogą, to jest na Gdańsk, w interesie naszego handlu i przemysłu musiano się postarać o uzyskanie bezpośredniego dostępu do wybrzeża, aby uniknąć trudności, wynikających z korzystania z połączeń kolejowych, wiodących przez obce terytoryum. I dlatego w szeregu planowanych przez nasz zarząd kolejowy budów nowych linii kolejowych pierwsze miejsce zajęła linia Kokoszki Gdynia, jako dla naszych interesów najważniejsza.

Traktat wersalski przyznając nam część wybrzeża morza Bałtyckiego, obszedł się z nami bardzo po macoszemu, dając nam niewielki jego skrawek, nie posiadający większego portu, mogącego odegrać poważniejszą rolę dla naszych interesów handlowych i przemysłowych. Mamy wprawdzie prawo korzystania na równi z wolnem miastem Gdańskiem z tamtejszego portu, z jakiemi to jednak połączone jest nieraz trudnościami i szykanami ze strony hakatystów niemieckich, których w Gdańsku nie brakuje, wie każdy kto czytał sprawozdania dziennikarskie zwłaszcza z najkrytyczniejszego dla nas okresu, to jest z czasów, gdy groził nam zalew bolszewicki. Drogą na Gdańsk szły dla nas transporty materyału wojennego od naszych sprzymierzeńców, a robotnicy portowi przeszkadzali ustawicznie wyładowywaniu i dalszym transporcie. I inne przesyłki, z prowadzeniem wojny nic wspólnego nie mające, spotykał ten sam los, na każdym kroku narażeni byliśmy na różnego rodzaju nieprzyjemności, odbijające się bardzo ujemnie przedewszystkiem na naszym handlu i przemyśle.

Mając dostęp do morza, musimy z tego korzystać, w pierwszym zatem rzędzie musi się dołożyć starań o urządzenie własnego, wygodnego i odpowiadającego swym celom i potrzebom państwa portu handlowego, połączonego bezpośrednio z siecią krajowych linii kolejowych. Początek w tym kierunku już zrobiono, Gdynia oddaje już usługi naszemu handlowi i przemysłowi, otwarcie linii kolejowej Kokoszki-Gdynia zadanie to jeszcze bardziej ułatwi i z czasem zyskamy tam postępowo urządzoną przystań, co jednak połączone będzie z wielkimi kosztami i nie może nastąpić tak prędko ze względów natury technicznej, z jakimi związana jest budowa portu, do stępnego nawet i dla największych okrętów. Gdy to kiedy nastąpi, Gdańsk straci na tem wiele, cały bowiem ruch handlowy z Polski skieruje się wówczas do swojego własnego portu z pominięciem wolnego miasta, które dotąd uważa się za część składową Rzeszy Niemieckiej.

Nie prędko to nastąpi, w każdym razie dobry początek już zrobiony, co wpłynie niezawodnie i na Gdańszczan, każąc im we własnym interesie zerwać z dotychczasową polityką, mającą na celu stwarzanie najróżnorodniejszych trudności, mogących nam wyrządzić jakąś szkodę. Traktat polsko-gdański, normujący stosunek wzajemny obu sąsiadów, podpisano wprawdzie, ale wiadomo, że papier jest cierpliwy i zawiera nieraz wiele bardzo pięknych postanowień, z któremi jednak w rzeczywistości nikt się nie liczy.

Na uroczystość poświęcenia i uruchomienia nowej linii kolejowej przybył z Warszawy prezydent ministrów Ponikowski, min. kolei Sikorski, nadto wzięli udział min. b. dzielnicy pruskiej Wybicki, wojewoda pomorski Breyski i inni.

Linia ta długości 33 kilometrów prowadzi przez teren falisty i lesisty wśród stromych zboczy i skał nad szeregiem strumyków. Budowę tej linii rozpoczęto w listopadzie 1920 r. a ukończono ją w ciągu dziesięciu miesięcy i w dniu 10 listopada przekazano dyrekcyi gdańskiej. Robotę ukończono wyłącznie przy pomocy sił krajowych i materyału krajowego. Były do pokonania liczne trudności techniczne. Przy budowie pracowało 1800 robotników. Koszta budowy nowej linii wyniosły sto trzydzieści pięć milionów.

Linia ta, ze stacyami Kack Wielki i Osowa, należy do kolei drugorzędnej i podporządkowuje się ją Urzędowi ruchu w Kościerzynie, Urzędowi maszynowemu w Tczewie i Urzędowi obrotu handlowego w Chojnicach. Od dnia otwarcia będzie na tej linii biegła jedna para pociągów nr. 4251 i 4254 według rozesłanego rozkładu jazdy.



Poświęcenie linii kolejowej Kokoszki-Gdynia: Uroczysty akt poświęcenia.
Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Jubileusz Akademii Handlowej.

Jaką sympatyą i uznaniem cieszy się nasza Akademia Handlowa, o tem przekonał wszystkich uczestników dzień 26 listopada b. r., w którym to dniu święciła ta uczelnia 25-lecie swego istnienia. Na wstępie bowiem zaznaczyć potrzeba, iż tak karnej i ułożonej młodzieży, tak harmonijnego stosunku pomiędzy nią a gronem profesorskiem z dyrektorem na czele, takiego wzajemnego zaufania i ciepłej wprost atmosfery, jaka panuje w tym zakładzie, rzadko napotkać można po innych szkołach. Nic w tem dziwnego. Akademia Handlowa posiada cały szereg profesorów nie tylko wybitnie pracujących na polu naukowem (profesorzy: P. Łoziński, T. Lulek, M. Passakas, A. Balicki, J. Ippoldt, A. Żabiński, S. Korbel, A. Boliand i inni), ale posiada między nimi kilka jednostek bezwzględnie młodzieży oddanych i jej wiele czasu pozaszkolnego poświęcających. Wystarczy wymienić nazwiska takie, jak jak I. Petelenz (organizator i kierownik wybornego zespołu muzycznego), St. Pszon (wydawca doskonałego do lektury pisemka francuskiego), A Balicki (twórca Pomocy kol. dla panien i kierownik kółka dram.), pna Zbrożkówna, nauczycielka śpiewu; prof. K. Sosnowski, kierownik ćwiczeń fizycznych — aby zrozumieć, dlaczego cały obchód przybrał tak wybitnie odświętny charakter i taki żywy rozgłos uzyskał nie tylko w naszem mieście, lecz daleko poza niem, wszędzie tam, skąd przybyli zaproszeni goście.

Rozpoczął się obchód jubileuszowy w sobotę o godz. 9 rano uroczystem nabożeństwem, odprawionem przez X. Adama Sapiehę w kollegiacie św. Anny. Zorganizowana młodzież obojga płci wypełniła kościół wraz z gośćmi do ostatniego miejsca. Po Mszy św., podczas której śpiewał z towarzyszeniem orkiestry chór A. H., prześlicznie od ołtarza przemówił do zgromadzonych książę Biskup, udzielając w końcu arcypasterskiego błogosławieństwa.

Z kościoła ruszył tłum na uroczystą akademię do Starego Teatru. Wielka sala koncertowa wraz z balkonem nie zdołała pomieścić obecnych. Moc osób stało we westibulu. Honorowe miejsca zajęli: X. Biskup Sapieha i Nowak, prezydent miasta Federowicz, wiceprez. Sare, rektorzy: Nowak, Zoll, Gałęzowski, Hoborski, delegat ministerstwa oświaty p. Kirst, wizytator p. Pawłowski, jenerał Osiński, Kostecki, wicewojewoda Kowalikowski i Nowiński; delegaci Akademii Handlowej ze Lwowa Żychiewicz





Poświęcenie linii kolejowej Kokoszki-Gdynia: 1) Krańcowa stacya Kokoszki. 2) Prezydent ministrów Ponikowski w otoczeniu gości, przybyłych na uroczystość poświęcenia, na stacyi kolejowej Osowa.
Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

i Tomanek, dyrektorzy banków, jak pp. Sędzimir, Ungar, Banda, reprezentanci prasy, sfer handlowych, kupieckich, przemysłu itd., długi szereg gości, za nimi część młodzieży zakładu.

Akademię rozpoczęła piękna kantata na nutę poloneza, przeplecionego pieśnią młodzieńczą: „Vivat Academia, vivant professores", a kończąca się hymnem: „Jeszcze Polska" — poczem doskonale odeklamowała p. Kowalska wiersz p. M. Zielenkiewicza p. t. „Siew". Po kantacie nastąpiły mowy. Rozpoczął je prezydent miasta, kreśląc historyę Zakładu, i osobnym ustępem podkreślając zasługi dyrektora J. Kannenberga, co zebrani potwierdzili burzą oklasków. Wizytator tej szkoły p. Pawłowski, najbardziej kompetentny, publicznie stwierdził gorliwą pracę profesorów i rezultaty w postępach młodzieży. Następnie przemawiał delegat ze Lwowa z Akad. Handl. p. Tomanek, im. b. uczniów p. Boruch, abituryentów p. Czuchajowski, uczniów p. Remer i uczenic p. Malcówna. Mowa tej ostatniej arcymiłe wywarła wrażenie, gdyż młodziutka panieneczka zapewniła rezolutnie, iż rozum kobiecy wart conajmniej tyle, ile „barki i pięści" mężczyzny.

Po przemówieniach następowały w dalszym ciągu produkcye artystyczne. Podziw wywołało wykonanie pod batutą prof. Petelenza „Menueta" i „Czajki" Paderewskiego przez orkiestrę zmyczkową, doskonale powiodły się śpiewy chóralne pod kierownictwem pny Zbrożkównej i p. Truszkiewicza, gdzie chór żeński odśpiewał Karłowicza: „W blasku księżycowym" i Noskowskiego: „Pieśń majową", a męski Galla: „Pieśń rycerską". Ogólny entuzyazm wywołały deklamacye „Echa kołyski" Asnyka i „Akropolis" Wyspiańskiego (akt IV) według pomysłu i reżyseryi prof. A. E. Balickiego, który rozłożył dotyczące wiersze na sola i chóry. Zwłaszcza „Echo kołyski" poruszyło zgromadzonych do łez. Przy tej sposobności pokazało się, że w Akademii są pierwszorzędne talenty deklamatorskie, jak pny: Jaśkowiczówna, Hradilówna, Zawiliński, Mendochówna i in.

Uroczystość zakończyło pełne ognia przemówienie prof. Balickiego, który, dziękując zebranym za przyjęcie, podkreślił wartość pracy nad młodzieżą. „Młodzież bowiem jest fundamentem pod przyszłość. Gdy fundamenta zdrowe i całe, to choćby nawet paliły się górne piętra, przecież o nadbudówkę wtedy latwo". Wreszcie odczytano wybrane ze stosu telegramy i listy gratulacyjne. Hucznemi oklaskami nagrodziła publiczność telegram od ministra skarbu p. Michalskiego oraz zapisy różnych osób na „Fundusz jubileuszowy" dla młodzieży Akademii Handlowej.

W podniosłym nastroju opuścili zebrani Stary Teatr, życząc tej Szkole dalszych sukcesów i zasług. Wątpić nie należy, że z poziomu, na którym ten Zakład stoi obecnie, już nie zejdzie, owszem, rozwijać się będzie jeszcze szerzej na chwałę i pożytek naszego społeczeństwa.

Do całości obrazu dodać należy, że tegoż dnia odbyło się uroczyste dla młodzieży Akademii przedstawienie „Halki" w teatrze „Opera". Dnia zaś poprzedniego odprawiono rano w kościele OO. Kapucynów nabożeństwo żałobne za dusze założycieli, fundatorów, profesorów, uczniów i uczenice tego Zakładu. Po południu o godz. 4 odbył się uroczysty wieczór w Starym Teatrze z programem dnia następnego (tylko inni mowcy przemawiali) dla tych, co nie dostali biletu na sobotę.

Wieczorem w dzień głównej uroczystości przyj-





Poświęcenie linii kolejowej Kokoszki-Gdynia: 1) Przepust pod Wielkim Rackim, dzieło naszych inżynierów. 2. Źródło zwane dawniej „Kaiserquelle", na 18. kilometrze, ujęte przez naszych inżynierów w basen, ozdobione figurą Matki Boskiej i nazwane obecnie Jej Imieniem. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Jubileusz Akademii Handlowej: Koło dramat. A. H. z założycielem i reżyserem prof. A. Balickim w środku.

mował dyrektor p. Kannenberg zaproszonych gości bardzo sympatyczną, towarzyską „herbatką", w niedzielę zaś młodzież Zakładu, która wzięła czynny udział w jubileuszowej uroczystości.



Ustąpienie prezydenta m. Warszawy: Inż. Piotr Drzewiecki, dotychczasowy prezydent m. Warszawy.

Ustąpienie prezydenta miasta Warszawy.

Wiele chaosu wywołało energiczne wystąpienie Rady Ministrów w sprawie gospodarki miejskiej naszej stolicy, dzięki której znalazła się Warszawa w położeniu prawie bez wyjścia. Rada Ministrów zastanawiała się nad tem, aby warszawski zarząd miejski wziąć pod kuratelę, dodając mu dwu prawnych doradców, również przedsięwzięto daleko idące kroki celem pospieszenia miastu z wydatną pomocą finansową ze strony Rządu.

Na ten temat wywiązała się ożywiona wymiana myśli w naszej prasie, zależnie od tego jakie ona stanowisko zajmuje wobec Rządu centralnego i warszawskiego samorządu miejskiego. Jedne z organów prasy stoją po stronie Rządu, którego obowiązkiem było wglądnąć w fatalną miejską gospodarkę i kres jej położyć, drugie obawiają się, aby ten krok Rady Ministrów nie stał się na przyszłość precedensem, niebezpiecznym dla naszego samorządu.

Ze stanowiska bezstronnego obserwatora zauważyć należy, zebrawszy wszystko *pro i contra*, że gospodarka miejska w Warszawie prowadzona była w sposób bardzo wiele pozostawiający do życzenia, nie liczano się z groszem, wydając niepotrzebnie miliony, a niemogąc potem znaleźć pokrycia na wydatki najniezbędniejsze, ponadto zaczęto się puszczać na zbyt bystre flukty politykowania, co interesom gminy, złożonym w ręce ojców miasta, na dobre nigdy wyjść nie może. Jak dowiadujemy się z pism warszawskich, utrzymuje tamtejszy zarząd miejski ponad dwa tysiące dobrze płatnych funkcyonaryuszy, bez których można się obejść zupełnie dobrze. Oczywiście, tak jak gdzie indziej wchodzi i tutaj w grę system protekcyjny.

Wobec takich stosunków zrozumiałem jest zupełnie, że Rząd pragnie wglądnąć w samorządową gospodarkę warszawską i złe bodaj częściowo naprawić, zasilanie bowiem wiecznie dziurawego worka miejskiego w nieskończoność iść nie może, przyczynia się nawet do dalszego krzewienia się złego, przedewszystkiem zaś do nie liczenia się z groszem, w nadziei, że Rząd pomoże, gdy przyjdzie znowu krytyczna chwila.

W związku z tą sprawą dotychczasowy prezydent m. Warszawy, Piotr Drzewiecki, wniósł na ręce Rady miejskiej rezygnacyę następującej treści:

„Wobec warunków, jakie się wytworzyły wskutek stanowiska Rządu, wobec samorządu stolicy i wobec powziętych przez Rząd zarządzeń i decyzyi dotyczących gospodarki miejskiej bez wysłuchania mej opinii jako Prezydenta Miasta, a także pragnąc, aby na czele stolicy mógł stanąć prezydent obdarzony zaufaniem Rady Miejskiej i Rządu, zgłaszam moją rezygnacyę ze stanowiska Prezydenta m. st. Warszawy. Mam zaszczyt prosić Radę Miejską o jaknajspieszniejsze wybranie następcy, gdyż ważność sprawy i decyzyi tego wymaga".

Epilogiem był wybór nowego prezydenta. Pięćdziesięciu czterema głosami wybrany został b. minister sprawiedliwości, Stanisław Nowodworski, należący do stronnictwa chrześcijańsko-społecznego, kandydat socyalistów, Rajmund Jaworowski pozostał w mniejszości, otrzymawszy tylko dziewiętnaście głosów.



Ustąpienie prezydenta m. Warszawy: Ignacy Baliński. prezes warszawskiej Rady miejskiej.

Laureat Nobla.

Z powodu otrzymania nagrody Nobla przez Anatola France, uznanego za największego ze współczesnych pisarzy francuskich, przynoszą czasopisma jego portrety i charakterystykę.

Przedewszystkiem zwracają uwagę na niezwykłą jego skromność, nie lubi mówić o sobie, woli słuchać niż głos zabierać. Kiedy go proszono, aby opowiedział początki swej karyery literackiej, przedstawił ją krótko: „Z początku zajmowałem się archeologią, pisałem artykuły do dykcyonarza pod kierunkiem p. Saglio. Następnie napisałem kilka przedmów wydawcom. Debiutem moim literackim były „Noces Corinthiennes". Następnie napisałem „Jocoste" i „Chat maigre". Ale to „były rzeczy marne. Były to rzeczy suche i drobne". Zapytany przez jedną z wielbicielek, które ze swych dzieł przekłada nad inne, odpowiedział natychmiast pierwszym lepszym tytułem, jaki mu przyszedł na myśl: „Le violon de faience", a wielbicielka odrzekła z powagą: I mnie ten utwór najwięcej się podoba".

Kiedy Anatol France był kandydatem na członka Akademii i według przyjętego zwyczaju składał wi



Jubileusz Akademii Handlowej: Chór i Zespół muzyczny A. H. W środku dyrygenci: Prof. Petelenz i p. Zbrożkówna.

RENE BURES.

Zil=X...

Tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

2)

Trzy kule.

Paweł Dalton mieszkał przy ulicy d'Assas. Doróżka wiozła mnie tam blisko pół godziny. Była to bowiem ta godzina dnia, w której powozy i dorożki tryumfalnie zajmują całe ulice. Koń nagle wstrzymywany przez stangreta zatrzymywał się co chwila, coraz przed nową zaporą. Wychylałem wówczas niecierpliwie głowę przez drzwiczki i za każdym razem wzrok mój padał na człowieka przylepiającego afisz — olbrzymi, czerwony afisz, na którym wydrukowane były białemi literami słowa:

„Iggins and Co wyświetla całą tajemnicę" i „Iggins and Co wiedzą wszystko"!...

Widziałem ten afisz na budowanym domu na rogu ulicy Saffitle. Widziałem go na murze przy ulicy Grammont, na baraku przy skwerze opery. I jeszcze na drzewie przy bulwarze i na ulicy Rennes i Św. Trójcyl Przechodnie zadzierali głowy, czytali i stali zdumieni! Wielu z nich czytało już nadzwyczajny dodatek „Burzy" i widziało tajemniczy, niejasny anons w niej umieszczony. I już zagadkowe nazwisko „Iggins" biegło z ust do ust.

„Iggins and Co! Iggins and Co!

Poivrier! Senator Poivrier zamordowany i był jakiś Iggins and Co, niewiadomo kto, który miał wyświetlić dlaczego i jak senator Poivrier zamordowany został!

Stary służący, który przyszedł mi otworzyć kiedy zadzwoniłem do mieszkania Pawła Daltona, w niczem nie był podobnym do innych, zwykłych służących. Nie było to jednak jego winą. Widocznem było, iż uczynił wszystko aby się przedstawić za dobrze wyuczonego i znającego swoją służbę lokaja. Był wygolony, uczesany, wypomadowany na sposób służących całego świata. Ubrany był również stosownie do swego zawodu. Miał nawet ruchy zawodowego kamerdynera. Ale cóż? kiedy wyraz wyniosłej służalczości wyryty na twarzach demokratycznych jego kolegów, nie chciał w żaden sposób przylgnąć do jego twarzy. I żaden wyuczony grymas nie mógłby zatrzeć zimnego błysku stalowych oczu ani wyglądu ironicznej rysy, zaciętych, energicznych ust.

Służący ten miał pomimo swojej liberyi, wygląd pana.

Obrzucił mnie krótkiem, bystrem spojrzeniem i wyrzekł:

— Pan Vallorbe!? Proszę wejść — oczekują pana.

I zdając się nie spostrzegać mojego zdziwienia, wprowadził mnie do obszernego pokoju, gdzie Dalton siedząc w wygodnym fotelu palił spokojnie papierosa.

— Któż jest ten służący, który mnie zna, widząc mnie poraz pierwszy — zapytałem zaniepokojony trochę. On ma twarz dosyć niesympatyczną.

— Cicho bądź... On podsłuchuje pod drzwiami. Mój służący musi zawsze podsłuchiwać pode drzami. To, czy wie kim ty jesteś i czy zna twoje nazwisko jest zupełnie bez znaczenia. Mówmy o tobie. Czy przychodzisz tu jako przyjaciel, czy jako wspólnik?

— Jako wspólnik.

— Dobrze. Usiądź i zapal papierosa. Skąd teraz przybywasz?

— Z bulwarów.

— Czytałeś „Burzę"?

— Tak.

— Dobrze. A więc nie wiesz nic.

— Jakto?

— Tak... wiesz tylko, że senator i jakiś nieznajomy zamordowani zostali i że pani de Beaumont dogorywa.

— I że znaleziono w przedpokoju służącego bez przytomności.

— To nie jest żadna wiadomość.

— Jakże? Policya go badać będzie i on powie...

— On nic nie powie.

— Dlaczego?

— Bo nic nie wie. Pozwólmy poczciwym ajentom policyi Markusowi i Salomonowi, tym sławom i chlubie dyrekcyi policyi, męczyć się nad wydobyciem kilku słów z tego nieszczęśliwca. My mamy co innego do roboty. A najprzód skoro mamy wspólnie prowadzić śledztwo, podzielę się z tobą wiadomościami, które posiadam.

— Ty posiadasz specyalne jakieś wiadomości?

— Nie przerywaj mi — rzekł Dalton z pewnem niezadowoleniem w głosie. — Tak, mam wiadomości, o których policya nic nie wie. Wiesz w jaki sposób opiekują się chorymi, którzy zasłabli nagle w hotelu. Biegną po jakiegoś lekarza. Kto to robi? Portyer oczywiście. I czy wiesz co on zyskuje od sprowadzonego lekarza?

— Zyskuje?

— Tak. Trzydzieści procent od honoraryum. Nasz system jest taki sam. Dzięki dobrej organizacyi niema w całym Paryżu ani jednego służącego, portyera, posłańca lub czyściciela butów, któryby nie wiedział, że informując nas o jakiejś zbrodni przed przybyciem policyi, zyskuje na tej wiadości sto franków.

Zrozumiesz więc teraz, że nasi ludzie już byli w willi Bzów na piętnaście minut przed przybyciem władzy. Ten nasz człowiek oczywiście nie mógł się dotknąć niczego, nie mógł zabrać ani skrawka papieru, ale wystarczyło mu nie być ślepym aby dojrzeć trupa człowieka nieznanego leżącego obok trupa senatora. Jego raport więc pozwolił nam zredagować anons, który został umieszczony w „Burzy". Oto jest!

Dalton wyjął z szuflady kilka ćwiartek papieru i czytać zaczął.

— „Stosownie do rozkazu udałem się do willi Bzów. — Składa się z parteru i dwóch pięter. — Dramat rozegrał się na parterze. — Parter ten składa się z przedpokoju, kuchni, jadalni i gabinetu senatora.

„W kuchni — nic. W jadalni — nic".

„W przedpokoju, ciało małego służącego, Jeremiego Boche — uderzenie silne w głowę, przedmiotem okrągłym, niedużym. Na skórze pod włosami widoczna rana, okrwawiona".

— Uderzenie rączką od rewolweru — zawołałem bez zastanowienia.

— Może.. może... — wyrzekł nerwowo Dalton. — Ale na razie nie czas na stawianie przypuszczeń. Ujmujmy fakta.

Podjął znowu świstek i czytał dalej:

— „W gabinecie senatora, szofer i kucharka jęczą zrozpaczeni. Szofer Julian Ternisten opiera się abym czynił jakiekolwiek poszukiwania przed nadejściem policyi".

— Ten Julian Ternisten jest tym, który nas powiadomił — przerwał Dalton.

„Pokój jest kwadratowy. Na środku wielkie płaskie biurko, zakryte papierami i książkami. Pomiędzy oknami kasa ogniotrwała. Przy ścianie biblioteka. Senator Poivrier siedział w dużym fotelu wsparty na poduszkach. Ciało nie stoczyło się, tylko głowa nisko opadła w ramiona, tak, że zdawać się mogło, iż senator śpi.

Przód koszuli, kamizelka i spodnie były obficie splamione krwią. Na dywanie rozciągała się duża plama krwi. Papiery na biurku również obryzgane krwią zostały.

Pomiędzy papierami dostrzegłem brzytwę skrwawioną. Brzytwa była osadzona na sposób murzyński"...

— Na sposób murzyński? — zapytałem zdziwiony.

— To jest nasze specyalne wyrażenie. Murzyni ze Stanów Zjednoczonych posługują się chętnie brzytwą jako bronią. Ostrze brzytwy przeginają zupełnie w tył i mogą w ten sposób uderzać nie narażając się na skaleczenie. — Teraz słuchaj dalej.

„Senator miał podcięte gardło. Rany jednak zbadać nie mogłem. Przyglądając się jednak z bliska zwłokom, dojrzałem kroplę krwi, jedyną kroplę krwi wybiegłą z lewego oka, z prawego kąta.

Pomiędzy biurkiem a drzwiami wiodącemi do gabinetu leżała pani de Beaumont w nocnym negliżu. Miała na srodku czoła ranę okrągłą, od kuli rewolwerowej. Oddychała jeszcze. Służba przeniosła ją do pokoju na pierwszem piętrze i złożyła na łóżku, w oczekiwaniu przybycia wozu ratunkowego.

W końcu przed jednem z okien, leżał trup człowieka ranionego również kulą w czoło. Był on wysoki, wygolony, o typie angielskim. Włosy jasne i rzadkie, ubranie popielate, buty żółte angielskie. W odległości pięćdziesięciu centymetrów od pani de Beaumont, znajdował się mały rewolwer o rękojeści z perłowej masy marki Smith i Wesson, sześciomilimetrowy. Szofer od razu rozpoznał, że jest własnością pani de Beaumont. Brakowało w nim jednej kuli.

Dalton po przeczytaniu schował raport do szuflady.

— Wiesz teraz tyle co i ja — wyrzekł poważnie.

— Więc co czynić będziemy.

— Nic.

— Nic?

— Przynajmniej do jutra.

— Czy policya przeszukiwała papiery senatora?

— Oczywiście. I możesz być pewnym, że o ile znalazła w nich coś interesującego, schowała je doskonale. Papiery byłego ministra spraw zagranicznych, nie mogą poniewierać się po wszystkich biurach policyi. — Z tej strony nie mamy nic do roboty, nie myślmy więc o tem.

Umilkł na chwilę i zdawał się nad czemś głęboko zastanawiać, poczem mówić zaczął urywanemi słowami, z pewnem wahaniem, jakgdyby chciał się dobrze zoryentować w sytuacyi.

— Trzy kule zostały wystrzelone... znaleziono tylko jeden rewolwer... Czy tam były trzy rewolwery czy tylko dwa...

Nie zrozumiałem o co mu chodzi.

— Przepraszam cię — wtrąciłem. — Wystrzelono tylko dwa naboje. Jeden dotknął pani de Beaumont, drugi tego anglika nieznanego, Senator został przecież w inny sposób zamordowany!

Dalton jednak powtórzył uparcie:

— A ja ci powtarzam, że trzy naboje wystrzelone zostały.

Wstał, podszedł do swojego stolika i prędko skreślił kilka słów na notatce, którą mi wręczył.

— Idź zanieś do „Burzy". Poproś, żeby wydrukowali w ten sposób, aby te kilka słów zajęły całą szóstą szpaltę dziennika.

Przeczytałem i podskoczyłem ze zdumienia. Chciałem już coś pytać, kiedy Dalton ruchem ręki nakazał mi milczenie.

— Powróć jutro do mnie o godzinie jedenastej — rzekł tylko.

Notatka zawierała te słowa:

„W głowie senatora zostanie znaleziona.. kula"!...

IV.

Sędzia śledczy pan Giroux był człowiekiem wysokiego wzrostu, ubranym zawsze w długi czarny surdut. Twarz miał suchą i ciemną, małeńką satyryczną bródkę i czarne oczy głęboko osadzone pod gęstemi brwiami.

Pan Giroux był bardzo chudy. Z wyglądu podobnym był do Mefistofelesa, ale w rzeczywistości pan Giroux był człowiekiem pełnym moralności i powagi, spokojnym, surowym mieszczuchem, przybytym z jakiegoś północnego, smutnego i brudnego miasta. Lekkość i nietrasobliwość Paryża nie mogła dosięgnąć jego sztywnej, zimnej duszy. Kiedy został wybranym do prowadzenia sprawy Poivrier, wybór ten został przyjęty ze zdziwieniem. Oczekiwano, że prokuratorya do tej misyi wybierze człowieka giętkiego, sprytnego ugodowca, który będzie umiał wyłączyć z aktów papiery, które nie powinny na rozprawie być odczytane publicznie. Tymczasem przy współudziale pana Giroux, wiedziano z góry, że każden skrawek papieru zachowany zostanie i wszystkie zeznania świadków zapisane z surową dokładnością.

Z wyboru więc pana Giroux na prowadzącego sprawę, wiedziano, że sprawa ta jasno bez-kompromisów zbadaną zostanie.

Pan Giroux natychmiast po otrzymaniu polecenia, powierzającego mu tę misyę, z zapałem zabrał się do śledzenia zbrodniarzy. Bezwłocznie wraz ze swoim sekretarzem udał się do Raney i rozpoczął dochodzenia. Najsamprzód przystąpił do oględzin terenu zbrodni, poczem zasiadłszy w kuchni, przywołał kucharkę i szofera. Wymagał od nich zeznań jaknajdokładniejszych. Musieli wskazać drobiazgowo zwyczaje domowe Senatora, kogo przyjmował, kiedy, o której godzinie wychodził, w jakiej porze wstawał i kładł się na spoczynek. Podczas kiedy mówili, pan Giroux przeszywał ich przenikliwym, gorącym wzrokiem. Lecz służba nie wiele wiedziała. Owego dnia nie widzieli, nie słyszeli nic.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. JOKAJ.

RODZINA BARDY

NOWELA.

6)

Zapytany zmięszał się.

— Nie wiem — odpowiedział.

— Nie wiesz? — zapytał młodzian zdziwiony. — Idź i przypatrz się!

Posłaniec nie chciał słuchać rozkazu.

— Idź i popatrz! — namawiał go młodzian.

— Wszyscy są bez głowy.

— Ah! — krzyknął młodzieniec, uderzając się w czoło i z płaczem padł twarzą na ziemię.

— Dlaczego pytałeś, czemu chciałeś się dowiedzieć?

Wtedy zaczęli zapytywać Wołocha, co wie o dziewczynie. Z początku udawał pijanego i nie chciał rozumieć, czego chcą od niego, ale kiedy go nastraszono i przyobiecano, że go zostawią przy życiu, jeżeli powie prawdę, wyznał, że ją w powozie zawieziono między góry i tam rzucą los, komu ma przypaść.

— Idę — rzekł młodzieniec, powstając z stałem postanowieniem z miejsca. — Pójdę!

— Gdzie? — zapytali.

— Odszukać ją. Zrzucaj sukmanę! — zawołał, obracając się do Wołocha — i ubieraj się w mój ubiór. — I wdział szybko prostą jego płóciankę, ukrywając pod pasem pistolety.

— Idziemy z tobą — odezwali się towarzysze — będziemy jej szukać z bronią w ręku. Będziemy ci towarzyszyć.

— Nie, pójdę sam. Ja sam prędzej ją odszukam. Bądźcie zdrowi. Gdybym nie powrócił, pozostawiam wam moją zemstę.

Poczem obrócił się do Rumuna i rzekł:

— Człowiecze, pod twoim trzosem widziałem medal on, który babka moja nosiła na szyi i po nim poznaję w tobie jednego z jej morderców; przyrzekłem ci darować życie, bierz go w podarunku z rąk moich. Tylko trzymajcie go tak długo, nim ja będę za górami, żeby mię nie wyprzedził i nie doniósł o przybyciu mojem kolegom.

Pożegnał się z towarzyszami, spojrzał na jedenaście nowych grobów i dogorywającą strzechę rodzinną i poszedł w leśną gęstwinę szukać kochanki, tej jasnowłosej dziewczynki.

* * *

Liście drzew porumieniły się pod wpływem dżdżystych, zimnych nocy jesiennych, cała okolica wyglądała, jakby we krwi skąpana.

Wśród stromych skał wiodła młodzieńca ścieżka, pomiędzy szczytami tylko niekiedy zajaśniało niebo, a zwieszone na urwiskach drzewa, zdawały się co chwila spadać w przepaść. Długie, grube ich korzenie, wyglądały jak grube powrozy, p.zymocowane w szczelinie skały.

Zdała szumiał górski potok, znosząc tu i ówdzie suche liście w jedno miejsce; kiedy młodzieniec przeszedł przez wąską jego kładkę, zdawało się mu, jakby go szum wody napominał, aby się wracał i uciekał, gdzie może.

Daleko wśród gęstwiny ukazuje się w dolinie ukryta wioska. Ledwie może trafić na prowadzącą do niej drożynę.

Gdzieniegdzie widać tylko chaty pomiędzy drzewami, jakby osadnicy tyle tylko wykarczowali lasu, ile miejsca potrzeba na jedną chatkę.

Ale na wysokiej, ponad wioską sterczącej skale, widać z mocnych kamieni zbudowany domeczek, do którego wiedzie ukryta ścieżka.

Młodzieniec zdaje się znać tę drogę, bo kroki swe skierował prosto ku chatce.

W jednej skale jest wyciosany święty. Przed figurą klęczy i modli się Wołoch. Czapkę i kosę położył obok siebie na murawie.

Kiedy spostrzegł przybysza, wstał, podjął kosę i zastąpił przybyszowi drogę.

Emeryk z zimną krwią pokazał mu pazurę.

Rumun oglądnął ją na wszystkie cztery strony, kiwnął głową: możesz iść i położył znowu kosę i czapkę, ukląkł i zaczął się modlić przed świętym.

Przed domkiem na skale stanął przybysz i zaczął pukać do drzwi.

Jakiś Rumun przyszedł i dał znać, że trybuna niema w domu, tylko żona jego.

— Żona trybuna? — zapytał młodzieniec zdziwiony.

— Tak jest, ta blada dziewczyna, która mu przypadła losem.

— I to jego żona?

— On sam powiedział, przyrzekając święcie, że komu przyszłaby ochota ją oglądać, poszle go na łono Abrahama do raju.

— Nie możnaby zobaczyć tej dziewczyny?

— Nie radzę ci zaglądać, bo cię rozedrze trybun, jak się dowie, zresztą ona wygląda przez tylne okienko. Idź tam, ale ja ucieknę przódy, żeby mię nie zastał z tobą.

Młodzieniec udał się do wskazanego miejsca i zaglądnął do okna.

Tam w poręczowem krześle z osiki pleciocionem, siedziała dziewczyna, trzymając w ręku książkę do modlitwy.

Piękną i bladą była.

— Jolanka — szepnął młodzieniec namiętnym głosem.

Dziewczyna zerwała się na ten głos znajomy. Spojrzała, zobaczyła oczekiwanego tak długo i z radosnym krzykiem rzuciła się do okna.

— Chodź, otworzę ci drzwi, one ze środka są zamknięte — szeptała, gdy tymczasem młodzieniec obsypywał jej ręce pocałunkami.

Drzwi się otworzyły, wstąpił młodzieniec, wałęsający się Wołoch podkradł się do okna i widział cały struchlały, jak dziewczyna padła w objęcia przybysza, a ten ją ściskał i całował.

I poleciał potem odszukać trybuna. Zeszedł się z nim na drodze i zaczął opowiadać z przestrachem, jak to romansuje u niego w domu jakiś Wołoch z uwiedzioną dziewczyną.

— Skąd to wiesz? — zagadnął go Numa ozięble.

— Widziałem przez okno.

— A jak śmiałeś zaglądać do mojego okna? Nie zakazałem tego? Klękaj i módl się!

Rumun zbladł, upadł na kolana i złożył ręce przed trybunem.

— Buntowniku, zawiniłeś i za to zasłużyłeś na śmierć; jeśli o tem wspomnisz przed kim jednem słowem, nie ominie cię ona.

I zostawił zgłupiałego gońca, który jeszcze długo po odejściu trybuna nie mógł przyjść do siebie i tak klęczał ze złożonemi rękoma; od tej chwili nie przemówił do nikogo, aby nie zdradzić niebezpiecznej swej tajemnicy.

Trybun tymczasem szedł szybkim krokiem, a kiedy na odgłos jego chodu zerwali się kochankowie, stanął w progu i spojrzał z niemym wyrzutem na młodzieńca.

— Dlaczego się spóźniłeś?

Młodzieniec podał mu rękę. Trybun nie przyjął.

— Na mej dłoni schnie krew twojej rodziny. Jesteś przyczyną mojej hańby i swojej żałoby.

Młodzieniec pochylił głowę. Ręce opadły bezwładnie.

— Przyjm rękę jego — prosiła trybuna dziewica słodko, a potem obracając się do Emeryka, rzekła: — On uratował ciebie i mnie, on oswodzi i rodzinę naszą.

Emeryk ze zdziwieniem spojrzał na dziewczynę. Trybun pociągnął go za rękę na bok i szepnął:

— Jeszcze nie dowiedziała się o ich zgonie. Gdzieindziej była podczas tej smutnej katastrofy i ja pocieszałem ją, że żyją wszyscy. Niechaj się nie dowie o okrutnych scenach owej nocy. Biada nam obydwom, żeśmy ich nie zdołali odwrócić.

— Ale prędzej czy później musi się dowiedzieć.

— Nigdy. Wy musicie ujść stąd, z tego kraju. Musicie ujść do Turcyi.

— Ja chcę iść do Węgier!

— Nie czyń tego. Wierz mnie i nie chodź tam; złe czasy przyjdą na mieszkańców Węgier. Wasi prorocy nie przewidują tego, ale ja widzę jasno, że tak będzie. Idźcie do Turcyi, dam wam paszporty, z którymi możecie bezpiecznie iść przez Multany. Tu masz pieniądze, za ich pomocą możecie tam żyć skromnie, ale szczęśliwie. Nie wstydźcie się przyjąć tego woreczka, jest to skarb waszej rodziny, z którego dla mnie przypadło dziesięć części, a który wam teraz zwracam. Przyrzeknijcie mi, że nie pójdziecie do Węgier.

— Nie przyrzekam spełnić tego, o czem nie wiem z pewnością, czy będę mógł dotrzymać: jeśli to będę uważał za stosowne, będę się trzymał twojej rady.

Numa ujął ręce dwóch pozostałych członków rodziny, a patrząc im długo w oczy, zapytał głębokim, czułym głosem:

— Wy się kochacie?

Niemo skinęli, że tak jest.

— Wy będziecie szczęśliwymi?

— Tak.

— Wy zapomnicie o nieszczęściu waszem?

Nieszczęśliwi twierdzili z płaczem: „tak!"

— Idźcie więc. Niechaj was Pan Bóg prowadzi. Bierzcie pieniądze i paszporty. Idźcie czemprędzej ku Szeklerom, idźcie do Kronstadtu, przepuszczą was wszędzie, a nie oglądajcie się, dopóki nie zniknie wam z oczu ostatni szczyt gór rodzinnych. Idźcie. Nie żegnajcie się. Ani słowa. Zapomnijmy się nawzajem.

Kochankowie puścili się w drogę. Trybun patrzał za nimi, dopóki mu nie znikli z oczu i jeszcze wtedy, kiedy go już nie mogli słyszeć, zawołał za nimi:

— Nie chodźcie do Węgier!

Tymczasem noc zapadła, trybun położył się na to niedźwiedzią skórą wyścielone łóżko, na którem przeszłej nocy odpoczywała jasnowłosa dziewczynka, a pozaprzeszłej jej kochanek. Ale jakby mu byli zabrali sen ze sobą. Na tem miejscu nie mógł zmrużyć oka.

Wyszedł. Rozłożył przy otwartych drzwiach gruby koc. W sercu uczuł coś, co się równa zadowoleniu, radości, jakiemuś słodkiemu, szlachetnemu uczuciu. A sen nie schodził na jego powieki. Patrzał do północy na gwiazdy, z których od czasu do czasu jedna spadła.

Wtem pośród cichej nocy daleko, bardzo daleko, odezwały się dwa strzały.

Trybunowi przyszły na myśl dwie sieroty i tak mu się zrobiło błogo, kiedy sobie przypomniał, że oni teraz już szczęśliwi — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Księżyc stał już wysoko, kiedy trybuna odgłos ciężkich kroków przebudził ze snu.

— Kto tam? — zapytał, podnosząc się z posłania.

Kilku Wołochów stało przed nim, między nimi był Lupuj.

— Przynosimy dwie głowy nieprzyjacielskie — rzekł Lupuj, rzucając ponurym, obrażającym wzrokiem na trybuna. — Zapłać nam za nie.

I wyjął dwie głowy z brudnej torby i położył na kocu trybuna.

Rumuni ostro, podejrzliwie patrzyli na twarz trybuna.

Przy świetle księżyca poznał Numa głowy Emeryka i Jolanty.

Ani jeden rys twarzy nie zdradził tego, co się działo w jego sercu.

— Poznajesz go? — rzekł Rumun — to ten zbiegły panicz, który w twojej nieobecności przyszedł po *fatę* i skradł ci pieniądze, a co więcej nawet i pazury.

Trybun zwykłym zimnym zapytał głosem:

— Kto ich zabił?

— Nikt — odpowiedział Wołoch. — Kiedyśmy ich napadli, wyjął ten *fratie* pistolety z za trzosa i jednym strzałem zabił dziewczynę, a drugim siebie.

— Wy wszyscy byliście obecnymi?

— Jeszcze więcej nas było.

— Wracajcie do domu. Zwołać wszystkich. Pieniądze znalezione u zbiegów chcę między was rozdzielić. Śpieszcie się. Kto nie przyjdzie, tego część rozdzielę między innych.

Rumuni z hałasem i skakaniem biegli napowrót.

Trybun zamknął drzwi i upadł na ziemię koło ściętych głów, całował je po sto razy i płakał jak dziecko.

— Powiedziałem wam, nie chodźcie do Węgier — jęczał z gorzkim wyrzutem. — Czemuż nie chcieliście mnie słuchać, nie trzymaliście się mojej rady.

I zachodził się od płaczu nad ściętemi głowami swoich nieprzyjaciół, jakby to były głowy jego rodziców.

Potem wstał. Oczy jego zabłysły. Wyprostował się jak sosna, potrząsnął okropną swą pięścią i krzyknął wściekłym, stłumionym głosem

— Czine mintie!*)

Po upływie kilku godzin zebrali się Rumuni przed chatką. Było ich sześćdziesięciu. Same dzikie, przerażające twarze.

Trybun zawinąwszy obie głowy w jedną chustkę, położył je na łóżko i otworzył drzwi

— Na ostatku wszedł Lupuj.

— Zamknij drzwi, żeby kto nie przyszedł — odezwał się trybun, potem postawił ich wokoło i dopytywał się każdemu z osobna.

— Jesteście wszyscy?

— Nie brakuje nikogo!

— Uważacie się za godnych wszyscy brać udział w zdobyczy?

*) Popamiętasz mię.

— Wszyscy.

— Czy to ty zabiłeś tego starego? — zapytał, obracając się do Lupuja.

— Ja sam.

— A ty przebiłeś z tyłu tego mężczyznę na schodach? — zagadnął drugiego.

— Jak mówisz trybunie.

— A ty wymordowałeś wszystkie kobiety? — pytał trzeciego.

— Nie kłamię, jeśli tak twierdzę.

— I wy wszyscy, jak tu jesteście, możecie się pochwalić, żeście zabijali, mordowali, podpalali i rabowali?

— Wszyscy! wszyscy! — krzyczeli, bijąc się w piersi.

— Nie kłamcie. Widzicie, żony wasze słuchają pod oknem i zdradzą was, jeśli będziecie kłamać.

— Prawdę mówimy.

— Bardzo dobrze — rzekł trybun, zbliżając się do łóżka, odkrył głowy, spojrzał na nie, przycisnął ręce do piersi i zapytał:

— I gdzież podzieliście ich ciała?

— Podartiśmy na kawałki i rozrzucili je po drodze.

Serce trybuna coraz więcej się ściskało.

— Czy wy się modlili już dzisiaj? — zapytał w końcu głosem zupełnie zmienionym.

— Nie jeszcze trybunie, ale na cóż to? — odpowiedział Lupuj.

— No to módlcie się, bo dziś ostatni wam zaświecił poranek.

— Trybunie? Czyś oszalał? Co chcesz robić?

— Chcę oczyścić naród rumuński z rozbójników i podpalaczów. Nędznicy! zamiast sławy, przysparzaliście wszędzie hańby narodowi. Podczas gdy waleczni bili się w otwartem polu, wy rozbójnicy mordowaliście bezbronne dzieci i kobiety, gdy tamci nadstawiali piersi paszczom działowym, wy napadaliście pomieszkania śpiących. Trzeba was wymazać z listy synów narodu rumuńskiego. Na kolana! Anioł śmierci stoi przed wami. Módlcie się!

Ostatnie słowa wymówione były grzmiącym hukiem trzęsienia ziemi. Trybun nie był już więcej tym zimnym, nieczułym głazem, wydawał się być jakąś istotą gorejącą, powołaną do niszczenia narodów jednem tchnieniem.

Rumuni stali przed nim zdrętwiali. Ich żony z krzykiem uciekały od okna.

Trybun wyjął pistolet i przystąpił do beczki z prochem.

Z wściekłym krzykiem rzucili się koledzy na niego. Za chwilę słychać było jęk rozpaczy, potem rozległ się huk podnoszący ziemię, od którego zatrzęsły się skały, przy świetle łuny wybuchającej aż pod niebo, a przerażeni mieszkańcy widzieli spadające kamienie, belki i porozrywane członki ludzkie.

Na miejscu chatki trybuna pozostała głęboka jama.

...Słońce zeszło i uśmiechało się znowu do ziemi.

...Spadły ostatnie z drzewa liście...

...Z trzynastu członków rodziny Bardy nie żył ani jeden.

* * *

Wypada mi pióro z ręki, ściska się serce.

Obym mógł uwierzyć, że to wszystko jest tylko marzeniem, tylko nieforemnym utworem snów znękanej duszy mojej.

Obym mógł powiedzieć: nie wierzcie temu, nie przerażajcie się tem, wszak to sen tylko, obudzimy się i nie ujrzymy go więcej.

KONIEC.

JÓZEF LASOŃ.

Spalenie sztandarów

2)

— ja oficer, mam szukać pracy jak pierwszy lepszy wyrobnik. No to mnie nie znasz, mój kochany. Wolę grać w karty...

Kotarba rankiem wyszedł na miasto po raz pierwszy w ubraniu cywilnem. Szedł zwykłym, codziennym krokiem, prężył pierś jak zwykle... a mimo to coś mu brakowało, czuł się czemś przygnębiony. Mundur począł mu ciężyć, krępować, jak szaty przestępcze. Bezwiednie ręka biegła do daszka czapki przy spotkaniu oficerów, bezwiednie oczy śledziły przechodzących żołnierzy, czy odpowiednie oddają ukłony, względnie dlaczego nie oddają mu zwyczajnego pozdrowienia. Nogi w takich wypadkach przystawały, ciało wykręcało się frontem do winowajcy, a wówczas błysk świadomości uprzytomniał nową erę życia, dławił groźne słowa żołnierskiej nagany i przywracał do równowagi, sk ęcając ciałem powrotnie. Ach te ręce! Niesforne jak dwaj urwisze ścigają się z rozmachem; prawa ucieka do daszka, lewa leży nieustannie i wyszukuje szwu spodni, żeby przez chwilę unieruchomieć w chwili przechodzenia wojskowych obok Kotarby. I oczy łobuzują. Ścigają mundury, wysilają się na odgadnięcie stopni wojskowych.

Męczy go to i zawstydza; Boi się śmieszności, która na każdym kroku na niego czyha, wyrasta z poruszeniem nóg i rąk.

Dyrektor banku przyjmuje go osobiście. Ukłonem salonowca odpowiada na ukłon Kotarby, uprzejmie wskazuje miejsce w fotelu obok siebie:

— Czemże mogę służyć szanownemu panu?

— Prosiłbym o posadę.

— Posadę! — kręci głową dyrektor, przeglądając świadectwa szkolne i wojskowe Kotarby — no tak, tylko że pan niczem jeszcze w życiu nie był. Co do wojska, pięknie, ale przyznam się panu, że wolimy ucznia prosto z ławy szkolnej, niźli wojskowego. Oficerowie, właściwie chciałem powiedzieć naogół wojskowi — nie są dobrymi pracownikami. Rozbite nerwy nie pozwalają na wykonywanie systematycznej pracy, dalej zaniedbana pilność pracy, wygórowane pojęcia wartości własnej; słowem z przykrością muszę panu odmówić. Nie przyzwyczailby się pan do żadnej porządnej pracy, nie nauczyłbyś się nic na przyszłość z pozrywanemi nerwami, z brakiem pilności i chęci do pracy. To są na ogół ogólne pojęcia o wojskowych i dlatego...

— O ileby tak było — odpowiada spokojnie Kotarba — to właśnie wręcz przeciwnie, a przedewszystkiem ludzie ci jeśli stracili nerwy czy zdrowie, to dla ojczyzny, dla społeczeństwa, dla ochrony mienia przemysłów i banków...

— Racja, racja — odpowiada dyrektor — jednakże pan wybaczy, muszę pożegnać. Interesa bankowe...

— Rozumiem — mówi Kotarba przez zaciśnięte usta i ukłonem żegna dyrektora.

Gdyby mu kto sztylet w piersi wbił, zębatym ostrzem wiercił w sercu i nerw po nerwie zrywał, nie cierpiałby bardziej. Jakto? Siedm lat ofiarnej służby, siedm lat boju i tułaczki, stracone lata młodości są obecnie ciężarem tylko w życiu, nieuzasadnioną winą. Więc to jest naród, to jest społeczeństwo? To za nich krwawił się na rubieżach Rzeczypospolitej, za nich i dla ich dobra krew swoją lał i utracił wszystko?

Zatacza się po bruku jak pijany. Mgła zasłoniła oczy; przechodnie potrącają go i oglądają się za nim.

Przyprowadza go do przytomności głos przyjaciela, który uwiesiwszy się rękawa surduta, serdecznie go witał. Służyli jakiś czas w pułku. Podczas walk pod Warszawą Szczygieł dostał się do niewoli. Uciekł przez zatokę fińską nie mogąc się doczekać wymiany jeńców, tembardziej jeńców wysłanych w głąb Syberyi. Jakiś czas walczył z bolszewikami w Rosyi w pułku syberyjskim, ale tęsknota przygnała go do kraju, do armii, do Ojczyzny. Sądził, że brak jest oddanych serc, patryotycznych dusz, żołnierskich rąk i przybył czemprędzej. Ale cóż? W Polsce już cicho, spokojnie. Wraca normalny porządek, wojsko idzie do koszar. Prosił o zdemobilizowanie, bo w Polsce nie ma co robić. Wybiera się do Grecyi, ewentualnie jechałby jako żołnierz do kolonii francuskich, angielskich, wszystko jedno gdzie i za czem, byle tylko z szablą czy karabinem w dłoni maszerować po świecie, nie dać sobie skoszarować ciało i ducha. Nie zastanawia się nad tem, ani nie chce zrozumieć, że tam gdzieś w obczyźnie zostanie również skoszarowany, tęsknota dwakroć silniej źreć będzie za karabinem, czy szablą polską.

— Dzieckiem wojna wyrwała mnie do włóczęgi żołnierskiej z Legionami. Włoskiego makaronu nażarłem się, z Sekwany wodę z winem piłem, stepy rosyjskie piechotą zrajterowałem, Sybir nie w kinematografie oglądałem, morze ścięte lodem przejeździłem na gołych niemal piętach. I cóż chcesz? Bym się mrówczył w koszarach? Muszę wytrawić gorączkę, która zeszła mi w krew, a może kiedyś przy kominku domowym usiądę i bałlady dzieciom prawić będę. He... he... taki to i mój już los. Nie odpędzisz go ni kijem, ni słowem. Wszystko dobrze rozumię, a inaczej życia idealizować, ani realizować, ani nie umię, ani nie mogę, ani też nie chcę. Urwij mi rękę, drugą nastawię. Odetnij mi nogę, drugą podskoczę naprzód. Wypal oczy, sercem dojrzę. Myślisz, że może egzaltuję się duchem historyi, wiarusami napoleońskimi przejmuję? To co weszło w moją krew, jest moim nowym, samoistnym tworem, może podobnym do przeszłości, bo wynikającym ze wspólnej naszej natury polskiej.

Rozgadał się na dobre, mimo, że Kotarba półuchem wszystko słuchał, pochłonięty własnemi myślami i losem. Opowiada z wiarą i przejęciem się, jakgdyby co dopiero z wyprawy greckiej, czy tureckiej wrócił, stoczywszy przedtem setki potyczek w koloniach.

Zapisuje adres Kotarby, bo chciałby jak najwięcej „starej wiary" do oddziału, w którym gdzieś, kiedyś będzie służył zwerbować, wspólnie los żołnierski znosić. A może uda się w przyszłości polski oddział zorganizować, święcić tryumf oręża polskiego.

Żegna się serdecznie z Kotarbą odprowadziwszy do bramy domu. Sciskają sobie wzajem dłonie, życzą spełnienia idei.

Pod wieczór przyszła Ludwisiowa. Sprzątając po pokoju ukradkiem obserwowała siedzącego w milczeniu Kotarbę. Kilkakrotnie ślinila już wargi, dobrem słowem je okraszając, smutna, zadumana twarz eksporucznika powstrzymywała gorące jej serce.

— Dziaduś taki był — przypomina stara historye i ze współczuciem spogląda.

Nagle Kotarba wstaje od stołu, pręży w górę ramiona i z naciskiem mówi:

— Wytrwać!

Czuł się znów silnym, młodym. Przetrawił zadany cios, zgryzł jadowity owoc i wypluł słowem; pozostała jeszcze reszta goryczy, którą należy ze ślinami wypluć i pozostanie znów takim, jakim był.

Ludwisiowa słucha szybko wypowiadanych słów, serce jej goreje przejęciem, wiarą. I ona całe życie walczy i wszystko złe trzeba przetrawić, zgryźć, wypluć i przetrwać.

— O rety — przypomina sobie — był tu jakiś pan rano, szukał pana na gwałt. Mówił, że jutro odjeżdża, że koniecznie musi się z panem zobaczyć. Zostawił list i adres. Prosił, żeby pan jeszcze dziś do niego przybył, lub dał natychmiast odpowiedź.

Kotarba odbiera list i odczytuje nadawcę. Nazwisko mu zupełnie nieznajome. Otwiera list i poczyna czytać. Ludwisiowa wytęża oczy i wpatruje się w promieniejącą coraz bardziej twarz Kotarby. Promienie radosne odbijają się w twarzy Ludwiowej, jakgdyby zwierciadłem najprawdziwszem się stała i była tylko odbiciem radości twarzy Kotarby.

— Co? Co? — szeptała pełna przejęcia.

Kotarba w głos jej odczytuje:

...Szanowny Panie! W majątku moim wolna jest posada praktykanta gospodarskiego. Znając Pański charakter i zalety z czasów pobytu u nas podczas wojny, zapytuję, czy nie byłby Pan skłonny objąć ją natychmiast. Jutro rano wyjeżdżam i mógłby Pan natychmiast jechać ze mną. Warunki omówilibyśmy natychmiast. W tym celu oczekuję

Stanisław Liskowski,
właściciel dóbr na Wołyniu.

Chwyta Ludwisiową za ręce i zatacza koło, jak zwyczajnie postępują dzieci przy zabawie. Ludwisiowa drepci nogami podskakuje jak stara obręcz po wyboistej drodze. Sadowi się wreszcie na łóżku, zmęczona, sapiąca.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa

Niewiele brakowało, a w niniejszym numerze nie byłoby kroniki, a to z powodu, że przed jej autorem stanęła otworem droga do Szwajcaryi. Niechaj jednak nikt nie sądzi, że miał się tam udać w charakterze urzędowym, aby wziąć udział w pertraktacyach polsko-niemieckich, jakie się obecnie toczą w Genewie. Podróż jego miała mieć charakter czysto prywatny, a być następstwem sprzysiężenia krakowskich zegarmistrzów na kieszeń swej klienteli.

Wiadomo powszechnie, jakie znaczenie ma dla postępowego człowieka zegarek, zwłaszcza w obecnych czasach, gdyż nie wolno pracować dziennie ponad ośm godzin, aby się nie narazić na wejście w konflikt z ustawą, tak u nas szanowaną, że pan Feldmann z *Naprzodu* w jej obronie obiecywał „pójść na noże“, gdy w sobotę o godzinie trzeciej popołudniu punktualnie, pożegnać się trzeba z wyżejprocentowym alkoholem, a powitać go można dopiero w poniedziałek i to także punktualnie o godzinie dziesiątej rano. Przyzna zatem chyba każdy, choćby nawet nie był bezstronnym, że w podobnych warunkach trudno się obejść bez zegarka. Posiadał go zatem i kronikarz, na kilka lat przed wojną za trzydzieści ośm koron. Nie rozstawali się ze sobą nigdy, przebyli szczęśliwie wojenne czasy, stawali czterokrotnie wspólnie do „mustersunków“, aby się dowiedzieć każdym razem, że są „ofermy“, nie nadające się nawet do służby w c. k. landsturmie. I dobrze im było ze sobą przez ten okres zegarek nie znalazł się ani razu w zastawie (zwłaszcza wszystkiem dlatego, że jest stalowy!.) kierował kroki kami i czynnościami swego pana, posłuszny zawsze jego woli z wyjątkiem miesięcy zimowych, widocznie bowiem nie mogło mu się w głowie pomieścić, dlaczego, choć śnieg na ulicy, każą mu wskazywać czas letni. W tym czasie stawał się też nerwowy, raz się spieszył, to znów spaźniał, onegdaj stracił do tego stopnia równowagę, że znalazł się na podłodze, szkiełko rozprysło się w kawałki, uszkodzoną została także jedna z jego wskazówek. To jego okaleczenie, boleśniejsze dla jego właściciela, niż dla niego samego stało się właśnie powodem, że kronikarz musiał wziąć poważnie pod rozwagę, czy nie trzeba się będzie wybrać do ojczyzny Tella, mączki Nestla, sera ementalskiego i brzytew Arbenza. Poddanie kuracyi nieodstępnego towarzysza kosztowałoby przed wojną najwyżej może guldena, wydatek zatem, na jaki umysłowo pracujący inteligent mógł sobie śmiało pozwolić nawet przy końcu miesiąca. Obecnie należało być przygotowanym na wydatek mogący dosięgnąć nawet tysiąca marek, czegóż jednak nie zrobi się dla swego wiernego towarzysza doli i niedoli?... Z pokrzywdzeniem zatem innych działów budżetu domowego zaopatrzył się kronikarz w bilet bankowy opiewający na tysiąc marek, okaleczałego przyjaciela ułożył wygodnie w pudełeczku i wybrał się z nim do jego miejsca urodzenia, to jest do sklepu zegarmistrza, u którego go przed laty kupił.

Któż jednak opisze jego zdziwienie, ale zarazem i rozpacz, gdy się dowiedział z ust zegarmistrza, że „bardzo żałuje, ale żadnych naprawek podjąć się nie może“. Na zapytanie, dlaczego, otrzymał odpowiedź, że powodem jest brak zupełny potrzebnego materyału, który się musi sprowadzać z zagranicy. Gdy własny ojciec wyrzekł się swojego dziecka i nie pospieszył mu z pomocą w nieszczęściu jakie je spotkało, nie pozostawało nic innego, jak wybrać się do innego zegarmistrza. Jak pomyślał, tak i zrobił, tutaj jednak spotkał się z tą samą odpowiedzią, a słowo w słowo powtórzyło to i czternastu innych jeszcze zegarmistrzów, których sklepy z kolei odwiedził, choć bowiem z Ukrainą nie ma nic wspólnego, jest uparty jak Rusin (nauczył się tego od Weroniki!...) i postanowił postawić na swojem. Nie dopiął jednak celu, między zegarmistrzami panowała wzruszająca jednozgodność, tak samo odpowiadał „wielki“ jak i „mały“, do którego sklepu wchodzi się ze sieni lub z podwórza, a nie wprost z ulicy.

Na rozpaczliwą uwagę kronikarza, co on teraz pocznie, jeden z zegarmistrzów, widocznie litościwszego serca, zrobił skromną uwagę, że nie pozostaje nic innego, jak wybrać się do Szwajcaryi, skąd zegarek pochodzi i tam kazać wprawić szkiełko i zmienić wskazówkę, co może kosztować najwyżej jednego franka.

Projekt ten przypadł w pierwszej chwili kronikarzowi do gustu, chwycił się go też, niczem pijany płotu i powrócił do domu w myśli rozpoczęcia przygotowań do podróży. W drodze do domu zaczął jednak snuć refleksye na ten temat, a ukończył je znalazłszy się już w swym pokoju i obliczywszy z ołówkiem w ręku, ile kosztowałaby podróż do Szwajcaryi i z powrotem, z jednodniowem zatrzymaniem się na miejscu. Otóż pokazało się, że na same koszta podróży i pobytu potrzeba, nie wliczając owego jednego franka na reparacyę zegarka, dziewięćdziesiąt siedm tysięcy marek i trzydzieści sześć fenigów, czyli, że, mówiąc popularnie, nie opłaci się skórka za wyprawę. Oczywiście liczył kronikarz koszta podróży tylko jednej osoby, choć Weronika dowiedziawszy się o jego zamiarze, oświadczyła gotowość towarzyszenia mu, powołując się na przykład pana Paderewskiego i innych mniejszych i większych ludzi, którzy nigdy nie puszczają się w drogę bez towarzystwa swych aniołów stróżów w spódnicach.

— Cesarzowa Zyta nie opuściła Karola nawet w czasie tak niebezpiecznej podróży, jaką było przedostanie się ze Szwajcaryi do Węgier drogą powietrzną, i to do tego, będąc w poważnem stanie!... — dodała na zakończenie.

— Tak!... — odpowiedział kronikarz — Zyta nie opuściła Karola z obawy, aby się po drodze gdzie „nie puścił“, a ty chyba o to kłopotać się nie powinnaś, znając dobrze moje zrównoważenie.

Dyskusya na ten temat była zresztą bezprzedmiotowa, gdyż zamierzona podróż nie mogła dojść do skutku z powodu zupełnego braku potrzebnych na ten cel kredytów, tak zwyczajnych, jak i nadzwyczajnych. Zegarek, jako inwalida, złożony został uroczyście w archiwum pamiątek domowych, w którem znajdują się między innemi: wianek mirtowy Weroniki, marka jej ukochanego mopsa, którego swojego czasu rozjechał tramwaj elektryczny, w pierwszym dniu swego uruchomienia, medal pamiątkowy z czasów ewakuacyi Krakowa, przeznaczony dla szczęśliwców, mających prawo pozostania w twierdzy na wypadek jej oblężenia i td.

W pierwszej chwili był kronikarz oburzony na zegarmistrzów, że nie chcą podejmować się naprawek, ale po rozwadze głębszej doszedł do przekonania, że mają najzupełniejszą racyę. Bo i po cóż męczyć się jakimiś tam naprawkami, nad którymi trzeba ślęczeć i psuć sobie oczy, aby zarobić choćby nawet i kilkaset marek za kwadrans pracy, gdy sprzedając z rączki do rączki złoto, srebro i drogie kamienie, oczywiście także i zegarki, bez wysiłku zyskuje się na tem tysiące, tak, że wystarczy na kawałek chleba i to nawet obficie masełkiem posmarowanego. Tłómaczenie się zegarmistrzów, iż naprawek nie podejmują się z powodu braku materyału, który trzeba sprowadzać z zagranicy, nie wytrzymuje krytyki, jeśli bowiem sprowadza się atamtąd wyroby złota i srebrne oraz gotowe zegarki, można również dobrze zaopatrzyć się tamże i w ich części składowe. Ale panom zegarmistrzom to się nie podoba i ich wojna nauczyła rozumu, w jaki sposób bez zbytniego natężenia się zgarnąć w kieszeni sporo pieniędzy. Każdy narzeka, że marka nie ma żadnej wartości, ale każdy chciałby mieć ich jak najwięcej. Nie obejdziesz się bez zegarka, powiadają sobie, to kupuj nowy, a ani im to w głowie, czy też podobny wydatek wytrzyma kieszeń danego osobnika.

Dajmy na to, ktoś lubiący punktualność, znalazłszy się w tem położeniu co obecnie kronikarz, zdobędzie się na kupno nowego zegarka, na co dziś trzeba wydać conajmniej kilkanaście tysięcy i nie spóźni się do domu w porze obiadowej, cóż mu jednak z tego, skoro, znalazłszy się pod rodzinnem dachem, dowie się z ust żony, że dziś obiadu nie będzie, gdyż fundusze domowe poszły na zakupno zegarka.

Zmuszanie klientów do kupowania tylko nowych zegarków jest zatem pewnego rodzaju lichwą i powinno być ostro wytknięte, jako wyzysk, jakiego zegarmistrze dopuszczają się wobec jednostek najmniej zasobnych, bo paskarz lub lichwiarz z pewnością naprawy zegarka nie zażąda.

Przykład zegarmistrzów może łatwo podziałać zachęcająco na innych rzemieślników. Szewcy już dziś odmawiają robienia naprawek, krawiec, gdy ci się urwie guzik od „niewymownych“ gotów zażądać byś sobie sprawił nowy garnitur, o ile w własnym zarządzie domowym nikt cię w nieszczęściu nie poratuje. Wpłynie to może zachęcająco na kandydatów do małżeńskiego stanu i zmusi do przyspieszenia poszukiwań dozgonnej towarzyszki, co jednak nie uwolni go od kłopotu, gdyż obecne panny, tak zwane „wojenne“, na gospodarstwie domowem, do którego należy także przyszywanie guzików, zupełnie się nie znają, przedwojenny towar zaś, obeznany z tajemnicami igły, jako już nieco podstarzały, amatorów nie znajduje.

Obstrukcya krawców wpłynie zatem na wzmożenie się pobytu na targu małżeńskim, czyli, że sprawdzi się to, co powiada mędrzec, że „niema złego, aby na dobre nie wyszło.“ Ale nie trzeba zapominać i o słowach poety, śpiewającego: „Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie...“, co należy sobie w ten sposób tłómaczyć, że i owo „lepsze“ ze słów mędrca ma swoje złe strony czyli, że się wpadnie z deszczu pod rynnę i wybierze sobie żonę, która wprawdzie zna gruntownie najnowszą literaturę tak zwaną piękną w guście „Alraune“ Eversa, o przyszywaniu guzików i innych tym podobnych czynnościach domowych pojęcia natomiast nie ma, nawet uważa je za poniżenie godności postępowej kobiety.

Aby złemu zapobiedz, Związek niesienia pomocy inteligencyi umysłowo pracującej powinien postarać się o urządzenie praktycznych kursów dla mężczyzn przyszywania guzików, cerowania skarpetek i tp., co może im w życiu oddać nieocenione przysługi. Gdyby szło o powołanie do życia kursu szycia butów, o znalezienie instruktorów nie byłoby trudno, ludzie bowiem z lubością szyją sobie wzajemnie buty, a mistrzami w tem okazali się obecnie narodowi demokraci, o ile rozchodzi się o osobę Naczelnika Państwa lub obecny rząd, z pośród którego członków najszczęśliwszym jest minister skarbu Michalski, któremu, jako autorowi projektu daniny państwowej, szyją buty wszystkie stronnictwa, tworząc w ten sposób zwartą olbrzymią większość, o której stworzenie przedtem tak było trudno.

Drugim przykładem na stwierdzenie prawdziwości wyżej zacytowanych słów mędrca, a uzupełnionych przez poetę, jest wniesiony obecnie do Sejmu projekt zmiany o ochronie lokatorów, która obecnie zmienia się na „Ochronę kamieniczników.“ Ogół wynajmujących mieszkania narzeka na nowy projekt rządowy, przewidujący zwyżkę czynszów mieszkalnych i to bardzo poważną, nie uwzględnia jednak tego, że przyczyni się on bardzo wydatnie na wzmożenie się u nas ruchu budowlanego, co usunie zastój w tym dziale, na który tak powszechnie narzekają. Ponieważ procent podwyższenia czynszów jest tem większy z im większej liczby pokoi składa się mieszkanie, kamienicznicy dziś już przystępują do dzielenia większych ubikacyi, tak, iż w niedługim czasie nie będzie w Krakowie mieszkania niżej sześciu pokoi, z których jednak najwyżej dwa lub trzy posiadają okna.

Nowa ustawa, aby lokatorów uchronić od wyzysku kamieniczników, przewiduje wprawdzie, że kwestye sporne, wyniknąć mające między jednymi i drugimi, rozstrzyga komisya odwoławcza, złożona z równej liczby właścicieli realności i wynajmujących mieszkania, na nic to przecież się nie zda, gdyż jej członkowie z grona lokatorów kamienicznikom nie mogą „stawać okoniem“, aby się nie narazić na to, że później sami nigdzie nie znajdą mieszkania, zapisani na „czarnej liście“ szkodzących ich interesom. Skończą się zaś te błogie czasy dla lokatorów, iż nie potrzebowali by się obawiać, że pierwszy lepszy grymas właściciela może ich pozbawić dachu nad głową.

Kamienicznicy są zatem w przedsionku do siódmego nieba, a w jego wnętrzu znajdą się wówczas, gdy projekt rządowy zostanie przez Sejm przyjęty, co już w najbliższym czasie ma nastąpić. Ma on zapewnioną większość, z czego należałoby wnosić, że Polska nie jest bynajmniej chłopską, lecz właścicieli mniejszych lub większych, pamiętających dobrze o swych interesach.

O ile kamienicznicy są rozanieleni, otrzymując taki piękny podarunek na św. Mikołaja lub Gwiazdkę, o tyle znów paskarzy i lichwiarzy towarowych kąsa szpetnie w łydki czarna melancholia, a dusza ze strachu schowała się do rękawa. Bo oto sąd zdobył się nareszcie na energię i panów tych, o ile dostali się w jego ręce, zaraz po ogłoszeniu wyroku „bierze w przechowanie urzędowe“, aby w ten sposób uniemożliwić im uchylanie się od odcierpienia kary aresztu, mającej być nagrodą ich obywatelskiej działalności. Ale, aby do tego przyszło, trzeba było dopiero ucieczki za granicę piekarza Broszkiewicza, a ostatnio mniejszych rybek. Dotąd lichwiarze i paskarze broili ile się zmieści, nic sobie z tego nie robiąc, że mogą wejść w konflikt z ustawami. Tłómaczyli sobie, że nałożoną na nich grzywnę zapłacą, a potem odbiją ją sobie na swej klienteli i to nawet kilkakrotnie, co się zaś tyczy nałożonej na nich kary aresztu, to od czegóż są adwokaci?... Adwokat znajdzie zawsze powód do wniesienia odwołania, sprawa przechodzi z instancyi do instancyi a paskarz lub lichwiarz prowadzi dalej swój proceder i dopiero, gdy zawiodą już wszystkie środki prawne, z rezygnacyą idzie pod klucz, narzekając, że stał się ofiarą losu, lub będąc czułym na punkcie swego honoru, jak Broszkiewicz, zamienia się w kamforę, zabierając oczywiście ze sobą zarobione miliony, które mu mają osłodzić i uprzyjemnić tułaczkę na obczyźnie.

Blady strach stanął teraz przed ich oczyma i, być może, podziała ochładzająco na to stado hyen i szakali

zyty swoim wyborcom, jeden z „nieśmiertelnych“ powiedział do niego: „Panie, coś pan napisał, obraża moje przekonania. Ale geniusz jest darem Bożym. Nie chcę zapoznawać woli Boskiej i nie głosować za panem“. Kiedy France opowiada o tem zaraz dorzucił: „Nie ulega wątpliwości, że ten nieśmiertelny nic nigdy mojego nie czytał“.

France ma przyjemność w robieniu ludziom przyjemności. Najmarniejszego debiutanta, najobskurniejszego interlokutora słucha cierpliwie. Posiada niezwykły dar słuchania. Gdy ktoś w towarzystwie opowiada jakie zdarzenia, nie czyni tak jak większość ludzi objawiających niecierpliwość, pragnących przyjść z kolei do słowa. Nie, on owszem stara się z każdego opowiadania coś dla siebie wyciągnąć. Namiętnie interesując się życiem publicznem, zawsze ma na ustach zapytanie: co słychać nowego.

Zamiłowany jest również w dziejach dawnej cywilizacyi, zwłaszcza greckiej i rzymskiej. „Właściwie — sam nieraz mówił — nic więcej nie kocham jak antyk“.

France bardzo wiele podróżował. Można powiedzieć, że dwukrotnie zwiedził prawie całą Europę. Był w północnej Afryce, zna Amerykę południową. Słynne były przyjęcia urządzane na cześć jego w Londynie, w San-Paulo w Brazylii. Niema dnia, aby nie otrzymywał dowodów uznania z całego świata. Literaci i uczeni nadsyłają mu stosy książek z dedykacyami, z dytyrambami we wszystkich językach. Mieszkanie jego zawalone jest albumami, fotografiami.



O wpływy w Turcyi: Marszałek Mustafa Kemal basza, przywódca tureckich nacyonalistów i szef rządu angorskiego.

Korespondencya jego liczy się na dziesiątki tysięcy listów. Odnoszą się ludzie do niego nietylko w sprawach publicznych i literackich, ale z prośbą o radę, z opisywaniem trosk swego życia. Jest to coś takiego co było u nas niegdyś z Kraszewskim, tylko na większą zapewne skalę.

France nosi nazwisko przybrane, narzucone. Właściwie nazywa się Thibault. Ojciec jego księgarz paryski, miał imię François, które w Andegawii (Anjou) z której pochodził nosi miejscową formę France. Klienci jego w Anjou, gdzie początkowo miał księgarnię, mówili o nim: „monsieur France“ — nazwisko to poniekąd zaadoptował, drukując na niektórych książkach swą firmę „France, librairie“. Młodego Anatola zwano France w pensyonacie, pod tem nazwiskiem znali go potem w kolegium. Jeszcze nie myślał o karyerze literackiej, a już w 14 roku życia zawsze Anatolem France był nazywany.

O wpływy w Turcyi.

Prasa angielska i niemiecka podniosły w ostatnich czasach z widocznem zadowoleniem, że Briand skutkiem porażki doznanej na konferencyi w Waszyngtonie, przyspiesza swój powrót do Europy. Miało mu się mianowicie nie udać zapewnienie Francyi za Oceanem poparcia na wypadek ewentualnego zaczepienia przez Niemcy. Kto jednak bada dokładnie tok wypadków polityki światowej, ten przyznać musi, że polityka Brianda znalazła w Waszyngtonie życzliwe przyjęcie choć rząd Stanów Zjednoczonych zupełnie otwarcie ogłasza, że bynajmniej niema ochoty mięszać się do spraw europejskich i odwrotnie, nie życzy sobie, aby Europa zajmowała się tem, co Ameryce dolega. Nie trzeba też być zbyt głębokim politykiem, aby sobie wyrobić przekonanie, że obecnie na porządek dzienny wysuwa się możliwość dwu konfliktów, które grożą poważnie równowadze pokojowej. Jednym z nich jest konflikt amerykańsko-japoński, drugim angielsko francuski. W łonie zatem w swe ręce panowanie nad wszystkiemi ważniejszemi cieśnami, popierała bardzo wydatnie usiłowania króla greckiego Konstantyna, który wystąpił przeciw Turcyi w nadziei wskrzeszenia państwa bizantyńskiego, ani nawet nie przypuszczając, że wyciąga z pieca kasztany, które potem zje ktoś inny, czyli, że leje się krew grecka, ale nie w interesie narodu



O wpływy w Turcyi: Delegat rządu francuskiego Franklin-Bouillon, udaje się w towarzystwie ministra spraw wewnętrznych Fethi beja na konferencyę z marszałkiem Kemalem baszą.

samej Koalicyi powstały tarcia, osłabiające jej powagę.

Konflikt angielsko francuski ma za podkład nieporozumienie, powstałe między obydwoma rządami, a spowodowane różnicami zapatrywań na sprawę turecką, która łatwo bardzo stać się może powodem wybuchu wojny światowej. Anglia, która usadowiła się już nad Bosforem, postanawiając widocznie ująć greckiego, lecz polityki wschodniej Lloyd'a George'a, któremu zależy na tem, aby, o ile się nie uda, usunąć zupełnie Turcyi z politycznej mapy świata, uczynić ją w każdym razie o ile możności jak najsłabszą.

Francya natomiast zajęła zupełnie inne stanowisko wobec rządu angorskiego i uznając jego słuszne dążenia, zawarła z nim układ, uznając tem



Laureat Nobla: Znakomity francuski pisarz, Anatol France, wraz z swą niedawno poślubioną małżonką.



O wpływy w Turcyi: Stara cytadela dominująca nad Angorą.

samem jego autorytet. Stało się to mniejwięcej w tym czasie, gdy wojska Mustafy Kemala baszy pokonały Greków, którzy zbyt ufni w swe siły i poparcie angielskie, pokusili się o zdobycie Angory. Na tle tej różnicy zapatrywań na sprawę turecką wybuchł obecny zatarg między Anglią i Francyą. Polityka francuska wobec Islamu jest racyonalniejszą, niż nieprzejednane stanowisko Anglii, które prędzej czy później wywołać musi reakcyę ze strony gnębionej rasy żółtej.

Polityka zagraniczna Lloyd'a George'a spotkała się zatem z niepowodzeniem, aby osłabić wrażenie, stara się on przy pomocy oddanej sobie prasy wmówić w świat, że Briand pokpił sprawę, gdy tymczasem jest zupełnie inaczej. Polityka zagraniczna Francyi zyskuje coraz trwalsze podstawy, gdy natomiast angielska grozi każdej chwili runięciu.

Illustracye nasze odnoszą się do pobytu w Angorze delegata rządu francuskiego, Franklina Bouillon, który w dniu 20 października podpisał imieniem swego rządu układ z Kemalistami.



O wpływy w Turcyi: Franklin Bouillon po podpisaniu układu z rządem angorskim w drodze do portu Inéboli nad morzem Czarnem.

Ofiary „Sinobrodego"

Zamieszczając szereg podobizn kobiet, które, wedle aktu oskarżenia, miały paść ofiarą Landru, nie od rzeczy będzie przytoczyć i słowa jednego z paryskich feljetonistów, zastanawiającego się nad temjakim przymiotom ducha i ciała zawdzięcza on to fenomenalne szczęście, jakie miał do kobiet:

„Czy on jest winny? Czy będzie zasądzony? Czy będzie uniewinniony? Oto są pytania, zajmujące dziś Francyę, Europę, świat cały. Jest coś tajemniczego w tym Landru, coś, co napręża ciekawość i porusza. Może on wywołać odruch, oburzenie, ale także pobudza do śmiechu. Landru jest tak dobrym dyplomatą, że mógłby nawet wziąć udział w konferencyi waszyngtońskiej. Landru jest dowcipny, może on uśmiechać się w najniebezpieczniejszych momentach, a niektóre z jego odpowiedzi stały się już klasycznemi. Przedewszystkiem jednak otacza go nimb don Juana i zwłaszcza w ostatnim tym charakterze budzi on największe zainteresowanie.

I cóż to za don Juan? Jestże on świetnym, pięknym bohaterem, jakiego widzimy w poezyi lub w operze? Bynajmniej. Landru jest człowiekiem 50 letnim, łysym, o długiej brodzie, człowiekiem, patrzącym przez okulary, nie posiadającym zębów, mogącym jeść tylko rzadkie potrawy i bynajmniej nie milionerem. Ale ma on jednak, jak świadczy o tem jego głośny notatnik, coś w sobie takiego, iż udało mu się zdobyć kobietę w 283 wypadkach, a jego siła przyciągająca świat kobiecy, nie zmalała, jak świadczy o tem tłum pań, cisnących się na rozprawy sądowe, liczne listy miłosne, które w dalszym ciągu otrzymuje.

Co zatem jest jego tajemnicą? Landru jest prostym, jak każdy geniusz. Wiele kobiet mówi o jego „fascynującem spojrzeniu", o jego gorącym, nęcącym głosie, o jego „długich i delikatnych rękach, któremi głaszcze swą piękną, czarną brodę".

Ta broda stała się zresztą wzorem mody i panowie francuscy zaczynają już nosić brodę a la Landru.

Ale nie w tych zewnętrznych warunkach tkwi jego tajemnica — jak pisze feljetonista paryski — lecz w psychologicznym wyborze jego środków.

Z małymi wyjątkami „narzeczone" „Sinobrodego" były kobietami, pochodzącemi z niższych warstw, mającemi już wogóle 40, a nawet 50 lat poza sobą. Do tych kobiet, które już przez wiele przeszły doświadczeń, zbliżał się Landru nie jako lekkomyślny uwodziciel. Mówił on im o swoim poważnym już wieku, o swych własnych rozczarowaniach i zawodach i ofiarowywał im własny dom, trwałe szczęście małżeńskie.

Czy może kobieta oprzeć się tak poważnie myślącemu mężczyźnie, który jej obiecuje małżeństwo? Czy słyszał kto kiedy o don Juanie z głową łysą jak kolano? Jeżeli Landru znał potęgę delikatnych spojrzeń, to nie niemniej znany mu był także czar słowa. Landru był delikatnym, ale był jednocześnie pełen zawsze respektu. Mówił on do tych prostych kobiet tak, jak gdyby były księżniczkami, traktował te stare kobiety tak, jak gdyby były jeszcze młodemi dziewicami. Jego listy są dziełem sztuki psychologicznej. Jakaż głęboka znajomość duszy kobiecej tkwi w jego powiedzeniach. W tej właśnie psychologii leży tajemnica Landru i dzisiaj jeszcze wywiera on na świat kobiecy nieopisany urok.

— On powinien dostać order — zawołała z zapałem głośna aktorka Mistinguett.

I kto wie, czy go nie otrzyma..."



Ofiary „Sinobrodego": W drugim rzędzie: Cuchet, Laborde-Line, Guillin, Héon, Collomb. W pierwszym rzędzie: Babelay, Buisson, Jaume, Pascal, Marchadier.

Bezczelne morderstwo rabunkowe w Krakowie.

(Do illustracyi tytułowej i illustracyi w tekście).

Stosunki bezpieczeństwa w Krakowie pozostawiają coraz więcej do życzenia. Niema prawie dnia, aby pisma nie przyniosły wiadomości o śmiałej kradzieży, włamaniu, napady bandyckie dokonywane bywają nawet w biały dzień i w najruchliwszych dzielnicach miasta nikt z mieszkańców nie jest pewnym swego życia i mienia. Zreformowana na sposób angielski policya państwowa jest widocznie za słabą, a organizacya jej opartą na fałszywych podstawach, nie odpowiadających wymaganiom czasu.



Bezczelne morderstwo rabunkowe w Krakowie: Błp. Jakób Stern, współwłaściciel kantoru bankowego „Hermes", ofiara bandytów.

Jeszcze nie przebrzmiało echo bandyckiego napadu na sklep jubilerski Zahna przy ulicy Floryańskiej, gdzie ofiarą niewyśledzonych dotąd morderców padły dwa życia ludzkie, gdy miastem naszym wstrząsnęła znowu wieść o nowej zbrodni, dokonanej w sposób jeszcze bardziej wyrafinowany i bezczelny na kantor firmy bankowej „Hermes" przy ulicy Dietlowskiej l. 92. I tu zostały na miejscu dwa trupy, dwie osoby odniosły ciężkie rany, a zuchwali bandyci uszli bez śladu.

Fakt ten świadczy bardzo smutno o obecnych powojennych stosunkach i stwierdza zupełny zanik poczucia etyki i moralności w niektórych warstwach naszego społeczeństwa.

Według informacyi pism codziennych, podających niejednokrotnie fakty przekręcone i z palca wyssane, wypadek napadu rabunkowego na kantor „Hermes" w dniu 24. listopada b. r. o godzinie 9·30 wieczór, przedstawia się w zarysach w sposób następujący:

W małym lokalu przy ul. Dietlowskiej 62, w jednej, frontowej ubikacyi na parterze z wejściem od ulicy, mieści się bank spółdzielczy „Hermes". Wzdłuż lokalu zresztą szczupłego ciągnie się lada sklepowa, a za nią w odległości 3/4 od drzwi wchodowych jest przegrodzone ścianką drewnianą, poza którą umieszczone są kręte schody, wiodące na balkonik, miejsce urzędowania buchaltera. Pod balkonikiem, a za klatką schodową mieści się telefon. Tuż za wejściem do lokalu, za ladą, na lewo stoi wielka kasa żelazna, a obok niej, obok ściany, kilka stolików. Drzwi do lokalu są żelazne, zaopatrzone licznemi sztabami, oraz małą „wizerką" w kształcie gwiazdy.

Około godz. 9·30 wieczór, jak zeznaje stróż domu Zygmunt Stachowicz, naoczny świadek zbrodni, przybył on do lokalu bankowego, zawezwany przez jednego z współwłaścicieli dla naprawienia światła elektrycznego. W lokalu zastał Stachowicz Jakóba Sterna jednego z wspólników, stojącego za ladą, zaś przed nią, naprzeciw Sterna stała jego żona, zaś Stachowicz stanął po prawej stronie przy ściance drewnianej.

W tej chwili wtargnęło do lokalu dwóch młodych ludzi, jeden niski brunet około 38 lat liczący, ubrany w palto koloru drap, o twarzy okrągłej, z charakterystyczną blizną na jednym z policzków; drugi wysoki smukły blondyn o zdrowej cerze, bez zarostu, około 20 lat liczący, ubrany w czarną kurtkę, spodnie czarne w paski, na głowie w miękkim czarnym kapeluszu z rondem spuszczonem na oczy.

Obydwaj momentalnie wyciągnęli ręce z rewolwerami (prawdopodobnie Mausery) i skierowali je ku obecnym z okrzykiem: „Ruki w horu!" Niższy bandyta odezwał się po chwili: „Cich... cich...o, dawaj co masz", zaś wyższy napastnik z wyciągniętym rewolwerem zwrócił się do J. Sterna i zawołał: „dawaj pieniądze i klucze od kasy".

Napadnięty Stern tłómaczył się, że kluczy nie ma, a właściciel przyjdzie zaraz. W tej chwili rozległ się dzwonek aparatu telefonicznego, na odgłos którego wyższy bandyta pobiegł do aparatu, chwycił słuchawkę i usiłował ją zerwać. To mu się nie udało, a spadł tylko ustnik, poczem zawołał do telefonu po rusku: „tu że nima nikoho". Następnie doskoczył do Sternowej i nalegał na nią, by dała,



Bezczelne morderstwo rabunkowe w Krakowie: Stachowicz, dozorca domu przy ul Dietla 62, naoczny świadek napadu.

co ma, przemawiając do niej w następujących słowach: „Willst du Mutter sein für die Kinder, gib Alles, was du hast, geschict dir gur nischt". Wśród powstałego zamieszania Stern udał się ku telefonowi, oświadczając, że nie ma pieniędzy. Sternowa prosiła męża, aby oddał pieniądze, mimo to Stern powtórnie krzyknął: „nie dam, możesz pan strzelać".



Bezczelne morderstwo rabunkowe w Krakowie: 1) Wejście do kantoru „Hermes", w którym dokonano napadu. 2) Żelazne drzwi wchodowe do kantoru „Hermes" z otworem, który zbrodniarze zasłonili papierem aby uniknąć uwagi przechodniów.

W tej chwili rozległ się strzał, skierowany do Sterna, który się zatoczył. Do [illegible] trupa bandyta oddał jeszcze dwa strzały, [illegible] przystąpił do obrabowywania trupa, zabierając mu portfel i zegarek złoty z łańcuszkiem.

Następnie na odgłos strzałów za drzwiami powstał ruch. Przechodnie poczęli dobijać się do drzwi i wołać policyę. Bandyci w mgnieniu oka rzucili do siebie następujące słowa: „hody", drugi zaś „siej czas" (natychmiast) i wyrwawszy z pod ręki tekę Vorschirmowi, dali do niego strzał z rewolweru, raniąc go ciężko w brzuch.

Wypadłszy na ulicę, obaj zbrodniarze potknęli się na kupie piasku, leżącym przed kantorem. Szybko jednak podnieśli się, uciekając przy ostrzeliwaniu się przez planty Dietlowskie w kierunku ulicy Brzozowej.

W czasie strzelaniny padł trupem przypadkowy przechodzień, 54 letni Henryk Schancer, a nieco dalej na plantach raniony został w brzuch Juliusz Stoff, 27 letni kupiec z Wiednia.

Zbrodniarzom udało się zniknąć w zaułkach Kazimierza, dzięki mgle i ciemnościom nocy.

Nazajutrz od wczesnego ranka gromadziły się na miejscu wypadku tłumy publiczności, komentując żywo smutne zdarzenia wczorajszego wieczoru, o godzinie dziesiątej przybyła komisya sądowo lekarska w asystencyi organów policyi śledczej i policyi państw.: prokurator Sozański, sędzia śledczy dr. Czuma, lekarz sądowy dr. Kwiatkowski, inspektor policyi, kierownik urzędu śledczego dr. Gebhardt, wywiadowcy Mayer, Rechowicz i inni.

Członkom przybyłej komisyi przedstawił się okropny widok. W kącie pod „telefonem" w pozycyi siedzącej, z głową przechyloną ku tyłowi, opartą o węgieł drzwi z nogą prawą zgiętą w kolanie, posuniętą pod nogę lewą, spoczywał trup Jakuba Sterna. Z obu otworów nosowych widniały strugi zaskrzepłej krwi. Koszula z przodu silnie zbroczona krwią. Przy badaniu zauważyć się dały powyżej pachwiny w okolicy brzucha dwie rany, wielkości 10 halerzówki.

Według zeznań ciężko ranionego Vorschirma, jeden z bandytów to niski, żydek, ostry wzrok, czerwona bródka. Drugi bandyta, możliwe, że żydek, o czarnych oczach, brunet, w miękkim kapeluszu na głowie. Słabym głosem ranny Vorschirm ciągnął dalej: Miałem kupić 20.000 marek niemieckich i przekazać je na Berlin; w teczce, którą mi zrabowano, miałem 292.000 mkp. Niższy bandyta strzelił do mnie. Po zamordowaniu Sterna wyszedł wyższy z poza ścianki i zabrał tekę z lady. Porozumiewali się oczyma. Niższy był przy telefonie. Gdy weszli mówili: „całkiem cichutko... cichutko... dajcie co macie".

Przesłuchany następnie Juliusz Stoff zeznał, co następuje: Dnia 24 bm. po godz. 9 wieczorem szedł ulicą Dietlowską ku Stradomiu. Gdy był niedaleko kantoru „Hermes", usłyszał krzyk i wołania o pomoc. Kiedy zaś przyszedł pod kantor miał wrażenie, że rozgrywa się jakaś awantura u stróża, lub szewca, mieszkającego obok kantoru. Nagle w kantorze usłyszał strzał, zaglądnął przez otwór do kantoru i zobaczył tylko wyciągniętą rękę z rewolwerem, a ktoś wewnątrz w tej chwili zakrył otwór papierem. Stoff zrobił wtedy otwór w papierze i począł wzywać policyę. W tym momencie jakiś niski człowiek wybiegł z kantoru i dał do niego strzał — nie trafił jednak i począł uciekać. Po kilku krokach potknął się na kupie piasku. Stoff puścił się za nim w pogoń, lecz również przewrócił się na tym samym piasku. Bandyta tymczasem podniósł się i począł uciekać w stronę Starowiślnej. Stoff, powstawszy z piasku, podszedł znów do drzwi kantoru; wtedy wybiegł wyższy bandyta i oddał do Stoffa trzy strzały, raniąc go w lewą rękę powyżej łokcia i dwukrotnie w brzuch. Opisu bandytów Stoff podać nie może.

Przesłuchanie Sternowej nie przyniosło nowych szczegółów, któreby rzucało światło na wyświetlenie sprawy. Twierdzi ona, że to byli inteligentni robotnicy, a jeden z nich który mówił z nią po żydowsku, był stanowczo żydkiem i mówił akcentem używanym w Kongresówce, drugi wyższy mówił tylko po polsku. Między innemi zeznała Sternowa, że wyższy bandyta po zamordowaniu i obrabowaniu jej męża przystąpił do niej z rewolwerem i zażądał wydania kolczyków. Ponieważ jednak zaczęto dobijać się drzwi, Sternowa zwróciła się do bandyty ze słowami: „idź pan już, bo policya nadchodzi"... Wówczas obaj bandyci zbiegli.

Przyznać trzeba, że policya śledcza pod kierunkiem dra Gebhardta wytężyła wszystkie siły celem ujęcia sprawców zuchwałego napadu i usiłowania jej jednak są dotąd bez skutku. Aresztowano kilkanaście podejrzanych osób, między któremi małżonka zamordowanego Sterna poznaje rzekomo jednego ze sprawców, dozorca domu, Stachowicz sprzeciwia się temu kategorycznie. Nasuwa się przypuszczenie, że napadu dokonali bandyci, pochodzący z Kongresówki, których siedmiu i to bardzo niebezpiecznych, zbiegło przed niedawnym czasem z warszawskiego więzienia „na Pawiaku". Jednem *corpus delicti*, jakie pozostało po bandytach, jest zgubiony przez jednego z nich czarny, filcowy kapelusz, noszący firmę Zygmunta Szwaryczowskiego w Tarnopolu.

Za wykrycie zbrodniarzy przeznaczyli współwłaściciele kantoru „Hermes" nagrodę w kwocie dwu milionów marek polskich, ponadto dwadzieścia pięć procent od zrabowanych efektów których wartość w gotówce, dochodzi dwudziestu milionów marek.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.